

WYDAWNICTWA ROK XVIII

PIŁOMYK

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI I MŁODZIEŻY



ZE ŚWIĘCONEM.

Mal. W. Piechowski.

WARSZAWA, ŚRODA 4 KWIETNIA 1934 R.

N° 31

DZIAŁ ROZRYWEK

ZAGADKA 1.

Które oko jest największe,
pełne czystej wody?
Obok niego szczyty górskie,
zamiast wąsów, brody.

ZAGADKA 2.

Przez *t* po wodzie pływa
(oczywiście w lecie).
A przez *d* w warsztacie
ją szewskim znajdziecie.

ZABAWA WIOSENNA DLA DZIEWCZYNEK I CHŁOPCÓW.

Cztery dziewczynki lub chłopcy stają, tworząc prostokąt. Ręce podnoszą do góry i łączą je razem, czem „robią dach”. Inne dzieci biorą się za ręce i śpiewają, skacząc dokoła tych czterech (melodia z pastorałek: Oj dyna, oj dyna, oj dyna).

Dziewczynki.

Oj mała, oj mała, oj mała
ta nasza chatynka zbutwiała.
Oj chato, oj chato, oj chato,
przystroimy ciebie bogato.
Prędko, prędko szukajmy
pięknych kwiatów — zrywajmy,
ustroimy chatynkę
w tę wesołą godzinę.

Umaimy obrazy,
umaimy okienka,
żeby wszyscy wiedzieli,
że tu mieszka dziewczynka.
Oj chato, oj chato, oj chato!
Umaimy ciebie bogato.
Oj mała, oj mała, oj mała
ta nasza chatynka zbutwiała.

Chłopcy.

Oj domu, oj domu, oj domu,
nie damy cię stawiać nikomu.
Lecz za to, lecz za to, lecz za to,
wystawimy ciebie bogato.
Pobiegnijmy do lasu,
bo mało mamy czasu.
Trzeba drzewa nazwozić
i fundament położyć.

Kiedy zrąb wystawimy,
to wiechę zawiesimy,
bądźmy się cieszyli,
żeśmy dom postawili.
Oj domu, oj domu, oj domu,
nie damy cię stawiać nikomu.
Lecz sami, lecz sami raneczkim
zbudujemy domek z ganeczkiem.

Dziewczynki (chłopcy) rozbiegają się. Które prędzej zdobędzie coś do przystrojenia (zbudowania) chaty, staje w środku. Gdy już jest czworo dzieci, reszta dzieci tworzy korowód i tak dalej. Jeżeli dzieci bawią się w mieście, gdzie niema kwiatów, mogą sobie do tej zabawy przygotować wycinanki. Kwiaty, gałązki czy wycinanki trzymają dzieci podczas zabawy w rękach, tworzących dach.

Stefania Siatkowska.

Z A B A W Y.

NAJLEPSZA PAMIĘĆ.

Zaczynający podaje nazwę miasta. Następny powtarza i dodaje drugą nazwę. W tej kolejności zwiększy się ilość nazw i znajdzie się ktoś, kto nie będzie mógł wszystkich nazw powtórzyć, wtedy musi wystąpić z koła. Przez kolejne ustępowanie pozostaje tylko zwycięzca, który otrzymuje poprzednio umówioną nagrodę.

KTO UMIE TABLICZKĘ MNOŻENIA?

W kole liczy się od 1 do 100. Przy każdej liczbie, zawierającej siódemkę (np. 17, 27, 37 ale także 71, 72, 73 i t. d.) i przy liczbach podzielnych przez siedem (np. 14, 21, 28 i t. p.) trzeba powiedzieć zamiast liczby wyraz „część”. Kto o tem zapomni albo się pomyli, albo też za długo się namyśla, ustępuje z koła i płaci fant. Następuje sądzenie fantów. Kto ma fant, mówi wierszyk lub śpiewa piosenkę.

Rosner.

PŁOMYK

Tygodnik ilustrowany
dla dzieci i młodzieży.



ŚPIEW ZMARTWYCHWSTANIA.

Pan zmartwychwstał!...
Biją dzwony...
Aniołami otoczony
Pan zmartwychwstał nasz!...
Błyskawice...
drżenie ziemi...
pada w łęku straż...

Nieśmiertelny!
pełen chwały...
Zwycięzca, Pan nasz!...
Przez Twe święte
Zmartwychwstanie
i nam życie dasz!

STEFANJA OTTOWA.

DYNGUS.

Idzie Dyngus po wsi
stanął przed zagrodą:
— A, bywajcie, chłopcy,
niosę wiadro wody!

Niosę wiadro wody
i piasku dwie kwarty,
jak spotkam brudasa,
myję nie na żarty!

Biegną z śmiechem chłopcy
— hej, to będzie heca!

Aż się stary Michał
poruszył z pod pieca.

Dyngus, Dyngus idzie,
dyngusowi ludzie,

na lewo, na prawo,
każdy zmyka żwawo.

Oblał Szymek Zosię,
bo ma brudny nosek.
Odpląciła mu się:

— A masz, ty morusie!

Patrzy się kogutek
z płotka koło chlewa:

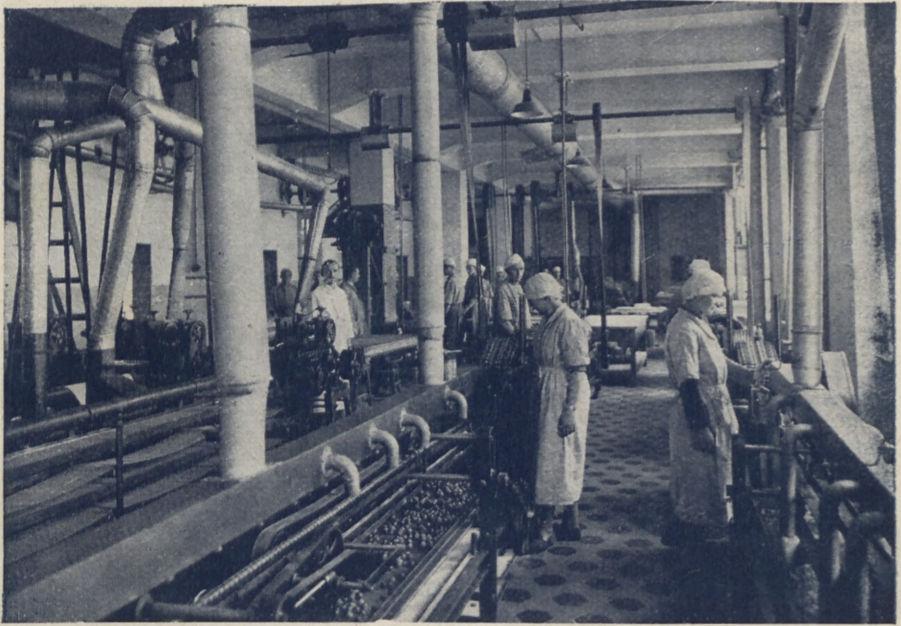
— Tylko moich kurek
proszę nie oblewać! —

— Dyngus, dyngus, hola! —
leci głos przez pola,
leci głos i wrzawa.

Raz w rok ta zabawa!!

ANNA ŚWIRSZCZYŃSKA.





W FABRYCE CZEKOLADY.
Wyrób cukierków nadziewanych.

Fot. J. Malarski.

OD DRZEWA DO CZEKOLADY.

Warszawa. Ulice. Domy. Niezliczone wystawy sklepów spożywczych. Piętrzące się za szymbami stopy żywności. Wszędzie prawie tkwią wśród nich puszki kakao i tabliczki czekolady, jajka czekoladowe, baranki z czekolady! Gotowe, apetyczne, pachnące.

To u nas.

A w dalekich, podzwrotnikowych krajach rosną drzewa kakaowe. Kiełkuje, pęcznieje i rozrasta się cenny surowiec. Dojrzewają owoce, kryjące bogactwo ziarn. Ziarn tak podobnych do bobu. Odmiennych tylko barwą i przeznaczeniem.

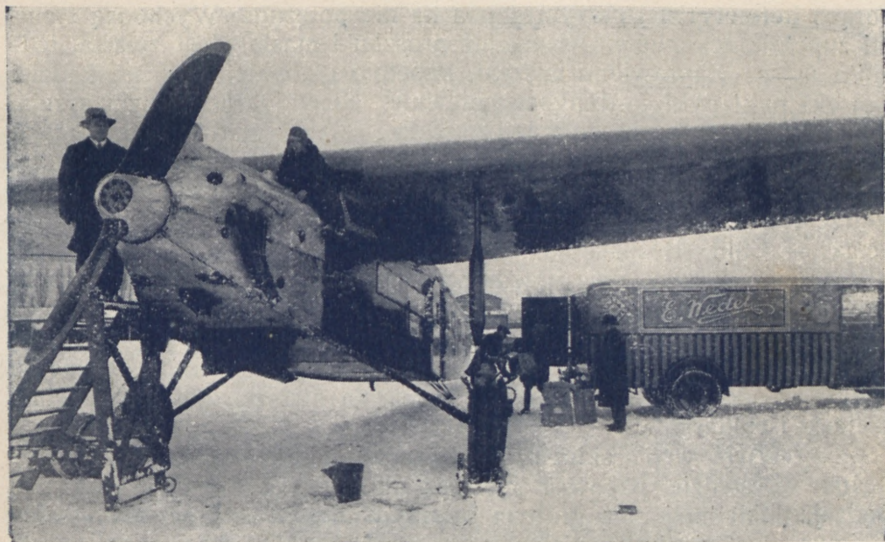
Część Ameryki Południowej, niektóre kraje Afryki, wyspy południowe, np. Cejlon, Filipiny, dostarczają ich poddostatkiem.

Europa poznała kakao w XVI-ym wieku. Przywieźli je z Meksyku Hiszpanie, jako nieznaną nowość.

Dzisiaj każdy chyba już próbował tego pożywnego napoju? Czekoladę zaś wszyscy znamy i bardzo lubimy. Wyrabiana w Polsce czekolada słynie ze swej dobroci. Cudzoziemcy słusznie chwala nasze wyroby cukiernicze. No, a my jesteśmy z nich dumni!

*

— Uhaaa! Uhaaa! — ryczy syrena okrętowa. Transport ziarn kakaowych przybył do Gdyni. Wielkie dźwigi portowe mają robotę.



ŁADOWANIE POLSKIEJ CZEKOLADY NA SAMOLOT, LECĄCY ZAGRANICĘ.

Polykają śpiesznie setki worków. Sapiąc, ciągną je w górę. I delikatnie składają do towarówek.

— Hszszsz! hszsz! sz! sz! sz! — gniewa się lokomotywa. Dzmm! brr! żczsz! tss! — odpowiadają jej wagony. — Cięż-ko! cięż-ko! cięż-ko! — zgrzytają koła. Tysiące tonn surowca jedzie do fabryk. Na stacjach ludzie rozdzielają transporty. Składają partje towaru na samochody ciężarowe.

— liich! ich! iich! — ostrzega nieuważnych przechodniów trąbka sygnałowa. — Prędejj! Prędejj! — nagli dym fabryczny. Niecierpliwe maszyny dygocą. — J-jeść! j-jeść! — huczą motory.

Wysypane ziarna zgarnia stalowy potwór. Oczyszcza je i gatunkuje. Lecą bystro do gorącego pieca. Prażą się. Uprażone już, mkną do kolosalnego „młynka”, który je łamie, kruszy, ściiera na proszek.

Podczepione wory napełniają się szybko kosztownym, fioletowym „pudrem”. Obok drżą ciągle olbrzymie sita. Przesypują nieustannie miliony kilo. Pył w salach i korytarzach wchłaniają odkurzacze, wyglądające, jak wielkie metalowe plasty miodu. Po przeróbce „pudru” część stanowi gotowe kakao. Część idzie na czekoladę. Waga - kolos automatycznie rozważa i nasypuje puszki. Ustawione rzędami czekają dalszej podróży w świat. Do sklepów, domów i... żołądków!

*

Trzask! trzask! — spada pokrywa imponującego kotła. Jesteśmy w hali maszyn: tej najważniejszej. Powietrze ciężkie od słodyczy. Zachodzi tu cudowna przemiana: drobiny kakao mieszają się z masłem.

Gorąco hermetycznej skrzyni dziaia na nie potężnie. Wychodzą stamtąd zupełnie zmienione. Niema już proszku i masła. Jest zwarta, jednolita masa. Zaprawiona cukrem, napełnia głębokie, baniaste kadzie. — Pyk! pyk! pyk! — bulgoce gniewnie. Niewidoczne piecyki grzeją. Stalowe mieszadła nie dają jej spokoju. Męczą, gniotą, przewracają. — Chllll! chllll! — leje się szeroką, apetyczną strugą czekolada. Z wałka na wałek, z wałka na wałek. Poprzez tajemnicze, ukryte „korytarze”, ściekacze metalowe, kociołki i inne „narzędzia tortur” — wciąż: — Chlll! Bezustanku: — Chlll!

Grzmi, warczy, rwie przedziwna maszyna. Niby potworne macki wyciągnęła długie, metalowe, wąskie korytka. Trzęsie niemi, podrzuca ze złością. Pędzi tędy nurt czekoladowy. Rozciągany, potrząsany, ostudzany wpada wreszcie do foremek. Biała chłodnia łączywie je chwytą. Będą tu stygły i tężały. Suszarnia otrzyma gotowe zupełnie tabliczki i cukierki.

— Wrrr! wrrr! cz!cz!cz! — pracują automatyczne zawijaczki. Można wprawdzie pakować ręcznie, ale maszynowo idzie to dużo prędzej, dokładniej. Na grubym bębenu migoce srebrem taśma aluminiowa. Jest cieniutka, niemal przezroczysta. Ale jaka mocna!

— Ciach! ciach! — tną automatyczne nożyce. Niewidzialny krawiec szyje sukienkę dla czekolady. Pięknie ustrojona, wyłania się na świat boży.

I znowu trąbka ostrzega: — lich! ich! iich! — Z drogi! Czekolada jedzie! Z drogi! Taka długa podróż przed nią!... Część zostanie w kraju. Reszta uda się do dalekiej ojczyzny. Ludzie z pod drzew kakaowych także lubią polskie słodycze. Smacznego!

M. Chochrakówna.

GRANICE POLSKI.

(Granice POLSKI — 5536 km).
 Patrz, na tej mapie —
 tu jest Polska, synku.
 Nasze ziemie granica odcina
 czerwona.
 Wśród zieleni nizin —
 nasza ziemia,
 wolna, wywalczona!
 Czerwone kresy granic
 przeryniają wszystkie kraje,
 wszystkie tną mapy świata.
 Ale pamiętaj! za każdą granicą
 masz w człowieku, co pracuje —
 brata.

NIEMCY (granica 1912 km).
 Ta granica przez ziemie żyzne,
 bogate,

przez te zboża, co dojrzeją —
 razem,
 to, synku, niemiecka granica,
 za nią naród, opętany żelazem.
 Stoimy na straży swojej ziemi.
 Ale, synku! Nie zapomnij
 nigdy, synku miły!
 Muszą znaleźć jeszcze
 ludzkie serca,
 co straciły, wyśmiały, zgubiły.
 Chociaż czarna noc nad
 ludzkim światem,
 tej prawdy zgasić nie trzeba:
 jednakie są ręce robocze,
 co do ust niosą kęs chleba.

CZECHOSŁOWACJA

(granica — 920 km).

Będę duży, będę chodził w góry,
 sam pójdę — pewny i śmiały.
 Muszę przejść na czeską stronę.
 Teraz mówią:—Jeszcze za mały!
 Nie mów mi, że to są czeskie góry,
 ja wiem, uczę się: to są Karpaty.
 Widziałem przecie na mapie
 ten łuk wygięty, garbaty.
 Wśród tych samych drzew szumu,
 tych samych kwiatów woni
 te góry są jedne, zrosnięte,
 zrosnięte, jak my i oni,
 dwa wielkie narody słowiańskie.

RUMUNJA (granica 388 km).

Ta rzeka bystra, co tu płynie,
 to Dniestr, tu jest rumuńska
 granica.
 To Dniestr, rzeka śmiała i śliczna,
 brzeg urwisty — każdego
 zachwyca.
 Tu jest most, tu jest bystra rzeka.
 Most nas łączy, dzieli nas woda.
 Przez most poszedłbym do
 ciebie...
 Granica! Nie wolno! Szkoda!!
 Na tę rzekę ty mówisz „Moja”.
 I ja mówię też „Moja rzeka”.
 A woda śmieje się, pluszcze...
 i „niczyja” przed nami ucieka.

SOWIETY (granica 1407 km).

Długa, długa, długa granica:
 Polska — Sowiety,
 Sowiety — Polska.
 Kiedyś szlak tu leżał znany:
 nasze dziady tędy szły
 do Tobolska.
 A przecież, choć nie zapomnimy
 nigdy,
 łatwiej żyć będzie,
 gdy pojmą dzieci,
 jasnowłose dzieci polskie
 i rosyjskie:
 jedno słońce nam świeci.

LOTWA (granica 103 km).

Najkrótsza polska granica,
 a za nią — jakże inna mowa!
 Miasto „Libawa”, zwie się
 naprawdę „Leepaja”.
 Tak się zmieniają słowa.
 Taki małeńki naród,
 ale sąsiedzi, naród sąsiedzki.
 A mniej ich znamy przecie,
 niż kraj turecki czy grecki!

LITWA (granica 521 km).

Bory, lasy, wyrośnijcie wysoko,
 wiatr niech wami kołysząc śpiewa,
 aby się zrosły gałęziami
 polskie i litewskie drzewa!
 Zazumcie, zaśpiewajcie
 na granicy
 taką mądrą pieśń zgody,
 aby spokojnie żyć mogły
 oba skłócone narody!

GDAŃSK (granica 139 km).

Kiedy mamusia była mała
 i stała nad Wisły głębina,
 słyszała, jak pieśń śpiewali
 flisacy, co do Gdańska płyną.
 Gdyby kto spytał mamusię —
 wtedy — odrzekłaby śmiało:
 „Gdańsk to jest polskie miasto”.
 Dziś się inaczej stało.
 Wolne miasto przy ujściu Wisły
 niechaj wzrasta, niech się
 rozwinie!

Nie zazdrościmy mu teraz,
 bo mamy swoją Gdynię.

MORZE (granica 146 km).

Śliczne morze, sine morze,
 co tak szumi,
 co tak cię, synku, zachwyca,
 to także kres twojej ziemi,
 to także, synku, granica.
 Granica, co od nikogo nie dzieli,
 co się — do świata — otwiera.
 Morze kołysze polskie
 i obce okręty,
 każdego na grzbiet fali zabiera.
 M. Markowa.

Kłopoty zajączka



Raz zajączek mały
podał kożuch biały
na tarniny krzach —

trach!

— Oj, lisiku-sąsiedzie,
dopomóż mi w biedzie,
bo wracać do domu

strach!

— Ile mi dasz, proszę,
masz ty choć trzy grosze
dać mi za robotę,

co?

Chcesz może niteczki,
albo igiełeczki?
Zapłaci za wszystko

kto?



Nitka moja droga,
twa kabza uboga —

— lis śmieje się głośno:

— He, he!

Chodźże teraz z dziurą,
spotkasz ty się z burą,
bawiłeś się, synku,

źle!

— Ach! do domu wrócę,
matusię zasmucę! —
I łezki ze ślepek

kap! ot!

Kożuch potargany,
zając skłopotany,
lecz przyznać się trzeba
do psot!



Przed chatą — matusia.
Zajaczek, jak trusia,
przykucnął na ziemi

tuż!

— Nie gniewaj się, mamó,
rozdarło się samo,
będę uważniejszy

już!

Mama nie łajała,
pięknje scerowała:
— Nie chodź, synku miły,
po krzacz!
— W domu siedzieć wolę,
bo tarnina kole!
Skacze, już zapomniał
o łzacz!



Tłum. z ruskiego
St. Kossuthówna.



NA IMIENINY DLA MAMUSI.

Jeden ścieżek, drugi ścieżek,
haftowany śliczny brzeżek.
Raz niteczką, raz niteczką,
będzie kapa na łóżeczko.
Jeden ścieżek, drugi ścieżek,
jest już równy rząd mereżek.
Igła mruga złotem uszkiem,
ściele nitkę wkrąg tańczuszkciem,
a napastrzek ją popędza:

— Śpiesz się, igło, prędej! prędej!
To w imienin dzień matusi
będzie prezent od Anusi.
A już czasu jest niewiele.
Nitka się posłusznie ściele,
igła zwiija się, jak fryga,
złotem uszkiem w ściegu miga,
raz niteczką, raz niteczką,
— już jest kapa na łóżeczko!

J. MAJEWSKA.

PODARUNEK WUJKA.

— Bawmy się w policję — mówi Jaś do Tadka, uradowany pięknym mundurem policjanta, który przed chwilą otrzymał od wujka w podarunku. A była to rzecz nielada przywdziać takiego rodzaju ubranie. Zupełnie, jak prawdziwe. Niczego nie brakowało. Nawet gwizdek ze sznurkiem w kieszonce. A orzelki jak świeciły na guzikach, odbijając promienie słoneczne pięknej niedzieli, kiedy to Jaś z dumną miną, ukazał się gromadce chłopców.

Tej nocy Jaś bardzo niespokojnie spał. Przewracał się z boku na bok, wydając od czasu do czasu krótkie okrzyki. Śniło mu się:

Jedzie autem przez ulice miasta z wujkiem, z tym właśnie, który kupił mu uniform policjanta. Wuj zabrał go ze sobą, aby mu pokazać stolicę. Wszystko tu takie ciekawe, że pragnie tutaj stale mieszkać. Wtem auto ich stanęło. Widzi na rogu ulicy tłum ludzi i policjanta z pałeczką, któremu z trudnością udaje się

zatrzymać pęd ciągle napływających tramwajów i aut. Słyszy tylko szepty: — Żyje. — Po chwili ukazują się dwa auta. Jedno to karetka pogotowia ratunkowego z chorągiewką. Przed niem zatrzymuje się drugie auto z policjantami.

W półśnie podnosi ramię, aby coś, co go otacza ze wszystkich stron, odepchnąć. Nic nie pomaga, coś zalewa mu oczy, uszy, usta. Po chwili wszystko rozumie, widzi: tonie! — Nagle czuje, że go coś szarpnęło za włosy, czuje uderzenie o coś twardego. Otwiera oczy i widzi policjanta z odpiętym kołnierzem, szczerzącego białe zęby w uśmiechu. Są w łódce, zbliżają się do brzegu, gdzie wśród tłumu zgromadzonych rozpoznaje swoich rodziców. Potem ciągle tylko ich widzi. Przeciera oczy. Ależ tak, to oni. Nawet mówią do niego: — Jasiu, wstawać, już późno, czas do szkoły, czas...

Minęło dużo, dużo lat. Jaś jest już dorosłym młodzieńcem. Studjuje na uniwersytecie, w stolicy, o której marzył w dzieciństwie. I teraz zawsze na widok policjanta staje mu mundur wujka przed oczyma. Zdaje mu się, że widzi w nim: obronę, ratunek, bezpieczeństwo. Zdaje mu się, że każdy policjant to dobry, szczerzy przyjaciel, którego należy szanować. A dlaczego, czy wiecie?



PATROL POLICYJNY NA MOTOCYKLU.



PAMIĘTNIK CHINKI

31)

Spisala Ebrem.

— Mama umarła w zeszłym roku. Wspominała was przed śmiercią.

— Lepiej dla niej, że nie widziała mnie w tym stanie, ale jakże byłbym pragnął zobaczyć ją raz jeszcze!... Tyś bardzo podobna do niej... Urosłaś... Co się z tobą dzieje?

— Służę u dobrych ludzi, u których służyła moja matka...

Chciałam mówić dalej, ale już reszta służby spostrzegła trędownatych i przeszkodziły mi ich okrzyki:

— Dostaliście już jałmużnę, na co jeszcze czekacie? Idźcie jak najprędzej!

Ojciec mój cofnął się, a ja rzekłam pośpiesznie:

— Gdzie można znaleźć was, ojcze? Przyjdę przynieść wam jeszcze trochę pieniędzy.

Dał mi kilka wskazówek i wybiegł za innymi, a ja pozostałam, jakgdyby pod wrażeniem pioruna, któryby nagle obok mnie uderzył.

Więc nie zawiodły matkę przedśmiertne jej przeczucia, które, z biegiem czasu poczęły wydawać mi się całkiem nieprawdopodobnymi! Ojciec mój żył, ale jakże okropne było to życie! A mogło jeszcze ciągnąć się długo, chociaż straszna choroba, która go dotknęła, śmiertelną była i nieuleczalną!

Gdybyż przynajmniej nie był przytem w nędzy! Ale trędownaci nie znajdują zarobku! Gdyby mógł mieć przy sobie kogoś, coby go pielęgnował i otaczał staraniem! Ale jakże ktoś mógłby narażać się na dostanie trądu, który przecież udziela się przez dotykanie!

Jakby przez sen wypełniłam resztę posługi dnia tego, a rzuciwszy się na moje łóżko, długo nie mogłam zamknąć oczu. Nawal rozmaitych myśli, w związku z zaszłym wypadkiem, cisnął mi się wciąż do głowy. W uszach brzmiało na nowo przedśmiertne polecenie matki:

— Gdybyś kiedy odnalazła ojca, pamiętaj wypełnić względem niego obowiązki córki!

Ale jakież były te obowiązki? Pomagać mu zarobionemi przez siebie pieniędzmi? Od śmierci matki moi państwo dawali mi pewną niewielką zapłatę. Ponieważ miałam mieszkanie i utrzymanie, więc mi to wystarczało, mogłam nawet coś odłożyć. Czy jednakże wystarczy to również i dla ojca, który wszakże nic na utrzymanie nie miał? Było to przecież bardzo mało!

A powtóre, jeśli będę często widywała się z ojcem, to mogę nie tylko zarazić się sama, ale nadto wnieść zarazę w dom Kienlungów. Oniby z pewnością nie zgodzili się na to, żebym, utrzymując częste stosunki z ojcem, pozostawała u nich na służbie, zaś wychodzenie moje ukradkiem również mogłoby ściągnąć na mnie naganę i karę, a naostatku wydalenie. Zresztą ja sama obawiałabym się przenieść na kogo z nich tę straszną chorobę! Nie, trzeba opuścić ich dom, albo też porzucić chorego ojca, ale w tym ostatnim razie, czyż wypełnię względem niego obowiązki?

Ach! aby je wykonać, trzeba by z nim razem zamieszkać! Przypuszczam, że dałoby się odnajść, albo nawet kupić za pieniądze, pozostawione przez matkę, jaką budkę, gdziebyśmy się pomieścili i może dostałabym, jak niegdyś matka, zarobek w jakiejś tkalni, albo innej rękodzielni. Mam już lat trzynaście. W tym wieku dużo Chinek wychodzi zamąż, to znaczy, że są już dorosłymi kobietami. Ja też bardzo urosłam i zmężniałam od zeszłego roku, chociaż rosnę jeszcze i w dalszym ciągu. Mogę już zarabiać, chociaż nietyle, ile zupełnie duża kobieta. Tamby nie potrzebowali wiedzieć, że mój ojciec chory. Jabym go nie dotykała bezpośrednio, a naczynia, z których je, a w razie potrzeby i odzienie myłabym przed powtórnym użyciem... Ale przecież ustrzegłoby mię to tylko do pewnego czasu. Choroba ojca może się ciągnąć jeszcze bardzo długo i ja, obcując wciąż z nim, zarazę się z pewnością, dostanę także trądu.

I na tę myśl serce drętwiało mi z trwogi. Wiedziałam, słyszałam niejednokrotnie, jak straszną jest ta choroba, zapowiadająca się najpierw sinemi plamami na skórze, a potem czerwonymi, które przechodzą w żółtawo-białe nabrzmienia. Potem jad stopniowo przegryza ciało i kości, odpadają palce u rąk i nóg, nos, usta, ręce, stopy. Słowem cały człowiek gnije, umierając po kawałku i budząc ogólny strach.

Miałam się narazić na los taki? Byłóż to moim obowiązkiem? Ojca przecież uleczyć nie mogłam. Ulżyłabym, prawda, przez czas jakiś cierpieniom jego i nędzy, ale następnie stałyby się one znów moim udziałem. A wtedy ktoby mnie ratował?

Nikt, bezwątpienia, bo ja przecież nie miałam matki, ani dziecka. Ale ojciec mój miał dziecko, które przez szereg lat z miłością chował, pracą swoją przy życiu je utrzymując. Liczył z pewnością, że będzie miał opiekę na stare lata, a oto ta córka, której poszukiwał, do której tęsknił, opuszcza go teraz w najokropniejszym nieszczęściu, pomimo, że matka, jakby przecuciem wiedziona, zalecała jej przed śmiercią wypełnienie obowiązków względem ojca!

W ten i podobny sposób wahałam się i szamotałam ze sobą, jeszcze przez czas dłuższy. Sądzę, że Europejka, choć skądinąd litościwsza i bardziej duchowo wyrobiona od Chinki, nie czułaby się może obciążoną do tak strasznej ofiary. Ja nie byłam szczególnie dobrą, ani cnotliwą, ale w Chinach cześć dla rodziców i wdzięczność dla nich wpajana jest dzieciom tak wcześnie i tak bezustannie, że staje się podwaliną

całego ich na świat poglądu. Nie różniłam się pod tym względem od innych, a że miałam wyjątkowo czułą matkę, że mnie ona uczyła podwójnie cenić miłość ojca, jako rzecz mi nienależną, ponieważ zrobiłam mu zawód, nie będąc synem, więc też sumienie moje było szczególnie w tym wypadku wymagające i po kilku dniach zmagania się z sobą, doszłam do przekonania, że nie pozostawi mię w spokoju, dopóki nie postanowię zrobić ofiary na rzecz nieszczęśliwego mojego ojca z mego względnie dobrego bytu, zdrowia i młodego życia.

POŚWIĘCENIE CÓRKI.

Kiedy moje bolesne wahania zostały w ten sposób rozstrzygnięte, oznajmiłam o mojem postanowieniu państwu Kienlungom. Wysłuchali mnie z zajęciem i współczuciem. Dzieci zmartwiły się bardzo, że mam odejść, ale rodzice ich i wszyscy starsi nie odradzali mi tego wcale. Przeciwnie, chwalili bardzo moje pragnienie wypełnienia świętego obowiązku. Kienlung oświadczył, że zważywszy wyjątkowe okoliczności, mój czyn jest bardzo piękny i jako taki zasługuje na ogłoszenie w urzędowej Gazecie Pekinńskiej, najważniejszej z kilku zaledwie gazet chińskich, wychodzących w tem olbrzymiem państwie. Zdaje się jednak, że nikt go nie ogłaszał, a mnie nic na tem nie zależało. Nieszczęście, które na mnie spadło, było zbyt wielkie, aby rozgłos przyniósł mi w niem pociechę! Lżejszem uczynić je mogło tylko poczucie wypełnionego obowiązku.

Kiedy, odwiedziwszy po raz pierwszy ojca, przyniosłam mu wiadomość o mojem postanowieniu, płakał z radości.

— Tak mi już dokuczyło osamotnienie! — mówił. — A także głód i bieda. Będzie nam lżej, gdy ty będziesz zarabiała, Ahlute, a ja będę się starał ciebie nie zarazić. Trąd rozwija się czasami bardzo powoli, więc ja mogę żyć jeszcze długie lata i może nam być dobrze.

Uśmiechnęłam się smutno. Rozumiałam, że ojciec usiłuje oszukać samego siebie. Zwiąawszy z nim moje życie, czegoż mogłam spodziewać się dobrego? Czekala mnie tylko otchłań nieuniknionych nieszczęść! Ale ojcu oczywiście będzie teraz lepiej i przecież o to tylko chodziło.

Pan mój Kienlung obiecał mi przez swoje stosunki wynaleźć pracę w jakiej rękodzielni i zaraz to uczynił. Za część pieniędzy, pozostawionych mi przez matkę, zakupiłam maleńką izdebkę z najniezbędniejszymi sprzętami i tam zamieszkaliśmy oboje. Codzień, rano wstawszy, przyrządzałam ojcu posiłek i udawałam się do pracy, od której powracałam dopiero przed wieczorem. Wtenczas znowu gotowałam i prałam. Jakkolwiek nieznanne mi były wówczas zasady odkażania (dezynfekcji) wpadłam sama na pomysł obmywania w bardzo gorącej wodzie naczyń, których używał ojciec. Jadłam też zawsze z oddzielnych. Pomimo tego i pomimo, że ojca bezpośrednio dotykać nie potrzebowałam, nie wątpiłam ani na chwilę, że zarażenie się moje trądem jest sprawą niedalekiej przyszłości i pragnęłam tylko, żeby się to stało dopiero po śmierci ojca, żeby doostatka nie był pozbawiony moich starań!

Dalszy ciąg nastąpi.



SCENA Z TEATRU CHIŃSKIEGO.

Wszystkie role w teatrze chińskim odgrywają mężczyźni.

LEL I POLEL.

9)

Napisał J. Watra-Przewłocki.

— Dobrze. Będziecie najstawniejsi miłością braterską i pieśni o was śpiewać będą harfiarze i lud. Wiemy, jako się miłujecie obadwaj. Ślubowaliście ziemi i niebu i gwiazdom. Jeno się nigdy nie rozchodźcie... Gdyby wam było źle, przyzywajcie nas, a Wiła będzie wam pomocą. Idźcie na bój straszny, z którego nie wrócicie pod ojczyzną strzechę. Sława i Weles idą z wami... Jeśli was lęk ogarnia — zawróćcie z drogi. Los wasz jest uradzony przez bogi. Możecie się wrócić pod ojczyzną strzechę, a dożyjecie najdłuższej starości... A jeśli chcecie ofiary i sławy, będziecie nieśmiertelni... Cóż więc wybieracie?

— Chcemy nieśmiertelności — rzekł twardo Lei, a brat jego skłonił milcząc głowę na znak, że się zgadza na los.

— Stanie się, jako chcecie — rzekła Dziewanna, a Rozświta, przysłoniwszy błękitne oczy długimi rzęsami, szepnęła cicho:

— Jesteście dzielni, ale żal mi was...

— Nie żałuj nas, piękna bogini — odparł Polel, — bo czemże jest wszystko wobec nieśmiertelności i szczęścia, jakie mamy, słuchając głosu twojego?...

— Powiedziałaś słowa niecofnione, witeziu młody. Stanie się, jako pragniesz, a ojciec nasz, Swantewit, będzie z tobą i z bratem twoim.

— Nieśmiertelna Rozświto — rzekł Polel, — daj mi znak i daj mi moc, abym ginął chrobrze i obym zginął z myślą o tobie...

Bogini spojrzała błękitnymi oczyma na Polela i odparła ze smutkiem:

— Nie wiesz, że dziś wydałyśmy z siostrą moją Los na siebie. Nam nie wolno rozmawiać z ludźmi, co nie żyją na Łysej Górze... Tak, jak was obu czeka śmierć i sława, tak nas obie czeka świat podziemny brata naszego Welesa. Dajemy wam naszą moc i naszą nieśmiertelność, a wy nam dajcie serca wasze na zawsze... Ażali pragniecie się cofnąć?

— Nie — odparł Lel i płomienną żrenicą patrzył na boginię.

— Dobrze — rzekła Dziewanna.

— Pojęliśmy was, boginie. Serce za serce — nieśmiertelność za nieśmiertelność! — zawołał z zapalem Polel.

— Tak, zgadłeś witeziu...

Obie boginie pochyliły głowy i Dziewanna rzekła:

— Na znak przyrzeczenia, co się nigdy nie kończy, damy wam pocałowanie ostatnie, jakie daje niewiasta mężczyźnie, co idzie na śmierć... Przystąp do mnie, Lelu... Niech sława idzie za tobą.

To rzekłszy, pocałowała go w usta.

— Pójdź do mnie, Polelu — szepnęła Rozświta i dotknęła różanymi wargami ust Polela.

— Niech sława idzie z tobą w parze...

I stała się w onej chwili rzecz wielka i nigdy niecofniona: przypomierze bogiń słowiańskich i witeziów, nie znających lęku.

Dalszy ciąg nastąpi.

MIECZYŚLAW KARŁOWICZ.

W tym roku przypada dwudziesta piąta rocznica śmierci Mieczysława Karłowicza. Czy wiecie, kim był Mieczysław Karłowicz? Był to znakomity kompozytor polski, który naszą literaturę muzyczną wzbogacił szeregiem poważnych i pięknych dzieł muzycznych, pisanych przeważnie na wielką orkiestrę. Do utworów jego bardziej znanych należą pieśni: „Pamiętam ciche, jasne, złote dnie” i „Mów do mnie jeszcze”.

Karłowicz był nie tylko utalentowanym kompozytorem, ale również był znaczącym człowiekiem i prawym synem swej Ojczyzny. Kochał wszystko, co polskie, a już najbardziej rozmiłowany był w naszych Tatrach. Lubił też bardzo wycieczki narciarskie i często odbywał je w towarzystwie lub też samotnie. Podczas jednej z takich samotnych wycieczek, w dn. 8 lutego 1909 r. zdarzył się straszny wypadek. Spadająca z gór lawina śnieżna zasypała 33-letniego muzyka i przecięła jego młode życie. Stało się to w Zakopanem w pobliżu tak zwanego Małego Kościelca. W miejscu, gdzie znalezione zostały jego zwłoki, ustawiono pamiątkowy kamień z napisem łacińskim: „Non omnis moriar”, co znaczy dosłownie: „Nie umrę wszystek”. I rzeczywiście pozostały po nim „plody jego ducha”, czyli jego przepiękne dzieła, które są dziś skarbem polskiej literatury muzycznej.



M. KARŁOWICZ.

J. Giltowa.

KONKURS MŁODOCIANYCH TALENTÓW.

Konkurs młodocianych talentów w Filharmonii warszawskiej, zapowiedziany oddawna, zwłaszcza zainteresował prowincję. Ze wszystkich stron kraju, zarówno z kresów zachodnich, jak i wschodnich nadchodziły listowne zgłoszenia dzieci od

lat sześciu do piętnastu. Do konkursu dopuszczono 39 kandydatów; jedenaścioro okazało się niedostatecznie przygotowanymi. Poziom tego, co dzieci grały, było naogół wysokie, widać było, że dzieci rzetelnie pracują i są muzykalne.

Najwięcej było pianetek i pianistów, drugie miejsce zajęły skrzypce, trzecie wiolonczela. Przy stole sędziowskim przydywował sędziwy profesor Aleksander Michalowski, który niestrudzenie wysłuchał gry wszystkich uczestników konkursu. Nagrody zostały przeważnie po-



MŁODY PIANISTA NA KONKURSIE.

dzielone; uznano, że należy wyróżnić bardzo wiele dzieci. Ruta Waldówna — pianistka, zdobyła nagrodę Józefa Słowińskiego, Ida Hendlówna — nagrodę słynnego skrzypka Bronisława Hubermana — za świetne wykonanie na skrzypcach koncertu Beethovena.

Przez wszystkie dni publiczności na sali było bardzo dużo. Jedyne na koncertach czwartkowych, urządzanych dla szkół powszechnych, widuje się w Filharmonii tyle dzieci, co podczas tego konkursu. W skupieniu i ciszy przysłuchiwały się produkcjom, a potem hucznymi oklaskami wyrażały zadowolenie z nagród, udzielonych szczęśliwym laureatom.

Aniela Waldenbergowa.

JAK MOŻEMY POMÓC W PRACACH PAŃSTWOWEJ RADY OCHRONY PRZYRODY.

Ukazał się teraz w druku piękny Rocznik 13 p. t. Ochrona Przyrody, organ Państwowej Rady Ochrony Przyrody. Duża księga o 207 stronicach, zawierająca wiele ciekawych artykułów i ładnych fotografii drzew, lasu, ptaków i zwierząt czworonożnych. Nie jest to książka do czytania dla zabawy: zawiera dużo naukowych artykułów. Ale dla nas jest ciekawe, że istnieje Państwowa Rada Ochrony Przyrody. Cóż ona ma na celu? Oto ochronę zabytków przyrody, ciekawszych okazów, ochronę od zniszczenia, wytopienia, zniekształcenia. W tej myśli założono Parki Narodowe: Tatrzański, w Pieninach, w Białowieży, im. Stefana Żeromskiego w Górach Świętokrzyskich, w Ludwikowie pod Poznaniem; są rezerwy: Karczówka pod Kielcami, Las Wolski pod Krakowem i inne.

W pracach Rady biorą udział prof. Michał Siedlecki, znany Wam z książek: „Głębin” i „Skarby Wód”; prof. Szafer (może czytaliście jego: Yellowstone), Walery Goetel i inni. Rada ma 4 komitety w miastach uniwersyteckich, 12 delegatów regionalnych i 46-ciu delegatów powiatowych. Dużo więc ludzi interesuje się temi sprawami.

Ministerstwo Oświaty też wyraziło życzenie, by młodzież szkolna interesowała się sprawą ochrony przyrody; dobrze byłoby, by każda szkoła wiedziała, jakie są w pobliżu Parki Narodowe i rezerwy, by znała je, by pomagała choćby przez dokarmianie ptaków w zimie, przez przeciwdziałanie bezmyślnemu niszczeniu rzadkich roślin lub zwierząt.

Ktoby chciał więcej dowiedzieć się o tych sprawach (np. jeśli zainteresuje się tem kółko przyrodnicze lub geograficzne), powinien przeczytać książkę Riggensbacha: „Jak może młodzież chronić przyrodę” — albo pracę zbiorową p. t. „Skarby przyrody i ich ochrona”. Obie te książki, jak i wiele innych z tej dziedziny, są na składzie w Kasie im. Mianowskiego; są tam prace prof. prof.: Janowskiego, Szafera, Sokołowskiego i innych.

Dla warszawiaków ciekawą pewno będzie wiadomość, że istnieje w Warszawie stała wystawa w lokalu Ligi Ochrony Przyrody (Nowy Świat 2); warto ją zwiedzić.

St. Kossuthówna..



ŻELONOLUDKI

PELERYNKA NIEMPRZEMAKALNA.

Czy może być coś bardziej nieprzyjemnego od deszczu, który kapie nam za kołnierz?

Otóż dajemy Wam dzisiaj radę na to, radę dla tych wszystkich, którzy nie mają parasoli. Macie tutaj formę pelerynki, którą uszyjecie sobie z płótna nieprzemakalnego. Rys. 1, na str. 732 przedstawia formę pleców. Przypatrzcie się rysunkowi, a potem zróbcie sobie według niego formę bibułkową. Narysujcie najpierw linię, oznaczoną na rysunku strzałką d.

Linja ta musi się równać szerokości Waszych ramion. Następnie linja e, która wyznacza długość pelerynki. Dół jest ścięty półokrągło. Tak samo wykrajany jest przód pelerynki, ale ten składamy na pół i rozcinamy na dwa przody, jakie widzimy na rys. 2. Następnie wykrawamy kapturek (rys. 3 i rys. 4).

Teraz zszywamy plecy i przody według linii a, a¹ — (rys. 1 i 2) i przyszywamy przy szyi listwę b. Na listwie tej przyszyjemy guziki do przypięcia kapturka. Tak samo, przyszywamy listwę do jednej z połówek przodu. Na niej także przymocujemy guziki — dziurki do nich robimy na brzegu drugiej połowy przodu. Dwie części kapturka zszywamy z sobą według linii g i robimy na linii b² szereg dziurek do guzików, które znajdują się na listwie b, przy pelerynce. Przyszywamy do niego także dwie klapki, jak to widzicie na rysunku, na jednej z nich robimy dziurkę, na drugiej przyszywamy guzik. W ten sposób kapturek zapina się pod brodą. Przypnijcie teraz kapturek do pelerynki — i całość jest gotowa.

Jeśli wygląda na Was dobrze, możecie się zabrać do szycia jej z prawdziwego materiału, jeśli nie, poprawcie najpierw błędy na papierowym modelu.

Szyć pelerynkę możecie albo z kawałków nieprzemakalnego płótna które macie w domu (stary płaszcz, płótno z namiotu, cerata) albo musicie kupić odpowiednią ilość w specjalnym sklepie. Podajemy Wam adres takiego składu hurtowego.





Warszawa, ul. Marszałkowska 111, firma „Kera”. Są tam dwa gatunki takiego płótna. Jedno: szerokości 72 cm, cena 2.80 zł. za metr, grubsze i drugie cieńsze z ładnym połyskiem (lepszy gatunek) szerokości 120 cm, cena 5.50 zł. za metr. Obydwa mają popielato-zielony kolor, tak jak ubranka harcerzy. Oczywiście, że w wielu innych sklepach znajdziecie także materiał. W takich pelerynkach z kapturkami będziecie wyglądać, jak leśne „Zielonoludki”.

H. K.

NAUCZCIE SIĘ SZYĆ DLA LALEK!

Coraz cieplej! Wiosna na świecie! Lalki chcą iść na spacer, a tu sukienek niema! Trzeba się zabrać do pracy: uprać, przerobić i odświeżyć, co się da, ale i coś nowego trzeba uszyć. Pomyślał o tem sklep „Płomyka” i „Płomyczka” przy ul. Świętokrzyskiej. Możecie tam kupić formy kroju, opisy, jak co skrajając i uszyć, i całkowity materiał wraz z drobiazgami, jak koronki, zatrzaski, nici i t. p. potrzebne do uszycia całej wyprawki dla lalki. Można też nabyć i lalkę odpowiedniej wielkości.

Wyprawka do uszycia, bez lalki kosztuje 4 zł., z lalką 5 zł. 75 gr.



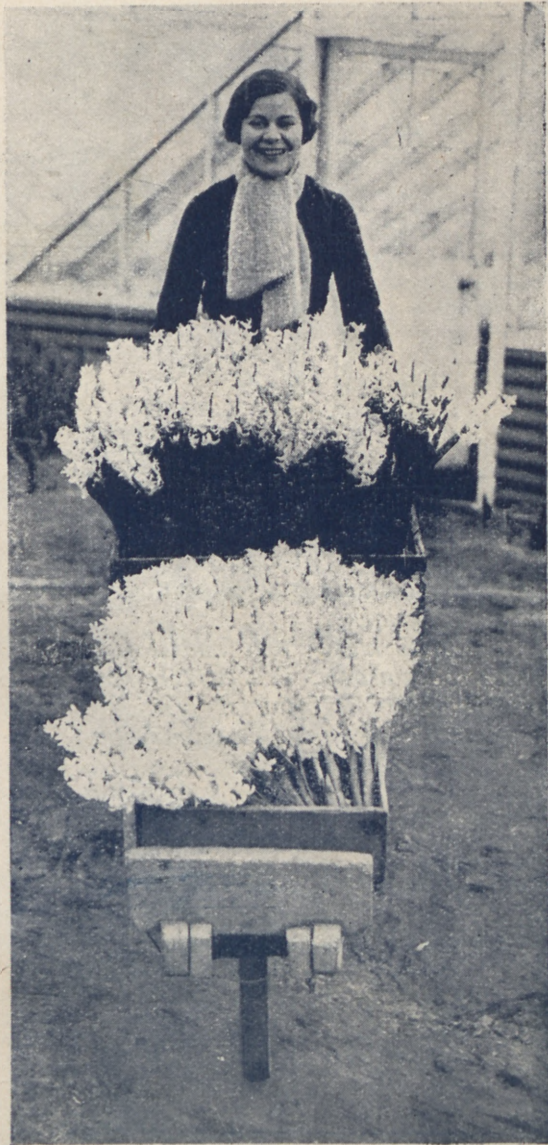
TAK WYGLĄDAJĄ LALKI, POSTROJONE W SUKNIE ZE SKLEPU „ZABAWA-NAUKA”. WARSZAWA, ŚWIĘTOKRZYSKA 18.

HIACYNTY.

Chcąc hodować hiacint, należy już w jesieni nabyć cebulkę tej wdzięcznej rośliny. Na dno doniczki kładziemy płaski kawałek cegły, skorpukę lub węgiel drzewny. Ziemię należy dać dobrą, ogrodową z przymieszką inspektowej. Górna część cebulki znajdować się winna na równej płaszczyźnie z ziemią, którą dość szczerze ubijamy. Tak przygotowane doniczki umieszczamy w piwnicy w skrzynce z piaskiem, podlewamy obficie i przysypujemy sporą warstwą piasku — 10—15 cm. Jeżeli kto ma ogród, może wykopać niezbyt głęboki dół, ustawić w nim doniczki, podlać, przysypać piaskiem — 10—15 cm i przykryć nawozem, aby cebulki nie przemarzły. W styczniu wyjmujemy doniczki, wnosimy je do pomieszczenia o temperaturze 8°—10° ciepła Celsjusza i podlewamy codziennie. Po kilku dniach przenosimy do cieplejszego miejsca.

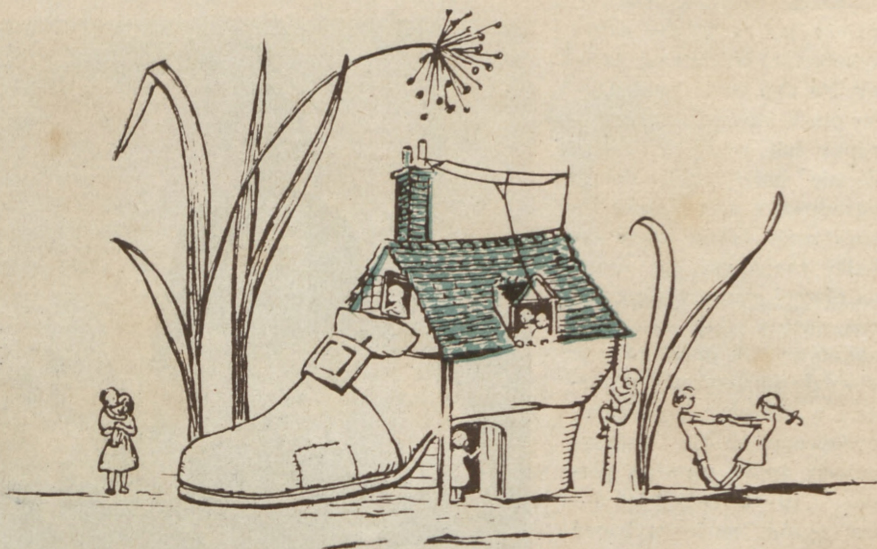
Gdy pokażą się pędy, na każdą cebulkę nakładamy wysoką czapczkę z tutki papierowej i stawiamy w miejscu cokolwiek chłodniejszym. Po upływie dwóch tygodni zdejmujemy tutki i trzymamy doniczki w półciemnym miejscu, potem w widniejszym o coraz niższej temperaturze.

Gdy hiacint wyrośnie i ma już spore pączki, stawia się go na oknie w po-koju o temperaturze 10° — 14° C i daje mu się palik. Ostrożnie go należy umieszczać, aby nie skaleczyć cebulki.



Janina Kamińska.

ZADANIE KONKURSOWE.



Kto z naszych Czytelników do dn. 1 maja r. b. nadeśle nam najładniejszą, wesołą powiastkę do powyższego obrazka, ten otrzyma na pamiątkę książkę.

Każda klasa może nadeśłać tylko jedno wypracowanie, wybrane przez sąd klasowy. Prace, które nadejdą po 1-ym maja, nie będą brane pod uwagę. Nie będą też przyjmowane prace, obejmujące więcej, niż 4 strony pisma formatu zeszytowego.

O F I A R Y.

DLA DZIECI OCIEMNIALYCH W LASKACH.

Klasa V szk. P. Taniewskiej 1 zł. i paczka (lalka, sweterek, majteczki, książki i 2 piórnik).

DLA CHOREGO STASIA W KRASNOWIE.

Z. C. 5 zł. Bezimiennie 5 zł. i Z. C. 5 zł.

DLA DZIECI POLSKICH W GDANSKU.

Szkoła w Słuszczyne — zł. 2; Wiesia i Maciuś Składowie — zł. 2; Lizia i Zdzisław Oczkowiczowie — zł. 5.83; Stefuś Olszewski — zł. 1; Kółko literackie im. Konopnickiej w Zduńskiej Woli — 3 zł.; Krysia i Lola z Dębego — 10 zł.; Szk. powsz. w Niemysłowie — zł. 3.50.

DLA DZIECI POLSKICH W GDANSKU PACZKI NADEŚLALI:

Dąbrowska Janina — zabawki i gry; Majewska Terenia — gry i książki; Malcówna Jasia — gry; Bittner Jerzyk — zabawki; W. Kijanka — zabawki; Gimnazjum Oświata — ubrania; Grabowska Halina — książki i zabawki; Rojewski Loniś — książkę; N. M. z Warszawy — ubranie i zabawki; Dzieci szkolne z Kraśnej — książki i zeszyty; Janek Werner — książki; Szkoła Nr. 16 (klasa VI), Pabjanice — list z opiatkiem; Uczennice klasy VI szkoły Nr. 2 w Opatowie kieleckim — książki; Szkoła powsz. w Hieronimowie — ubrania; Kucowscy Jurek i Jontek — ubrania i zabawki.

UCZ SIĘ JĘZYKA ESPERANTO!

LEKCJA XXII.

U. I.

W Esperancie każda samogłoska coś oznacza: *O* — rzeczownik, *A* — przyimiotnik (bona patro — dobry ojciec). Dziś się dowiemy, co oznaczają końcówki *U* i *I*.

1) „*U*” oznacza *rozkaz* albo *życzenie*, np. Skribu — pisz! Li skribu — niech on pisze, ŝi skribu — niech ona pisze, ni skribu — piszmy i t. p.

2) „*I*” oznacza to samo, co u nas „*ć*” na końcu czasowników czyli słów, oznaczających czynność lub stan: np. pisać — skribi, iŝć — iri, grać — ludi, kreŝlić czyli rysować — desegni, malować — pantri, rachować — kalkuli, uczyć się — lerni, nauczać — instrui, skakać — salti i t. d. i t. d. Słowem — to, co po polsku „*ć*” — to w języku esperanckim „*i*”. Bardzo łatwe — bo żadnych wyjątków niema. (W gramatyce takie słowa na „*ć*” nazywają się „bezokolicznikami”, ale tego pamiętać nie potrzebujecie — chyba, że które z Was jest zamitowane w gramatyce).

ĆWICZENIE.

1) Hodiaŭ mi volas lerni, poste skribi kaj fine ludi pianon. Dzisiaj chcę się uczyć, potem pisać a wkońcu grać na pianinie.

2) Ne iru for de l'hejmo, atendu min kaj ludu kune kun mi! Nie idź precz z domu (czyli: nie wychodź z domu), czekaj na mnie i baw się razem ze mną!

3) Ne telegrafu al mi, sed telefonu. Nie telegrafuj do mnie lecz telefonuj.

4) Paroli estas arĝento, silenti — oro. Mówić jest srebrem, milczeć — złotem.

5) Ciu en la hejma rondo *agu* laŭ inspiro dia, kaj en fimo mem formiĝos la tutaĵo harmonia! (Co znaczy — porównajcie Lekcję VI-tą!).

KALENDARZYK PRZYJACIOŁ ZWIERZAŦ.

KWIECIEŃ.

Powraca reszta ptaków. Około 15-go pojawiają się jaskółki, 22-go zaczynają śpiewać słowiki. Na św. Wojciecha siada bocian na gnieździe. Ptactwo domowe składa w tym miesiącu największą ilość jaj. Gęsi i kury prowadzą pisklęta. W przyrodzie wre praca około budowy gniazd. Sarny gubią futra zimowe i otrzymują szatę letnią. Jest to najlepsza pora do obserwowania przyrody, do pogłębiania swoich wiadomości, do zakładania kótek przyjaciół zwierząt i kótek hodowlanych.

Wkładkę do niniejszego numeru „Płomyka” stanowią „Listy od Redakcji”.

WARUNKI PRENUMERATY NA ROK SZKOLNY 1933/34:

	Miesięcznie	Kwartalnie	Rocznie	Nr. poj.
„Płomyk”	1 zł. 50 gr.	4 zł. 50 gr.	14 zł.	40 gr.
„Płomyczek”	1 zł. 20 gr.	3 zł. 50 gr.	11 zł.	30 gr.
„Płomyk” z „Płomyczkiem”	2 zł. 30 gr.	6 zł. 50 gr.	21 zł.	60 gr.

Ceny podane są wraz z kosztami przesyłki.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, Wybrzeże Kościuszkowskie № 35 (wejście od ul. Dobrej Nr. 6).

Dla prenumeratorów warszawskich biuro administracji ul. Świętokrzyska 18.

Wydawca: w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — JOZEF WŁODARSKI.
Redaktorka — HELENA RADWANOWA. Kierownik artystyczny — MICHAŁ BYLINA.

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA”, Warszawa, Sienna 15.

PEOMYK



BARDZO SMACZNE! CZY CHCECIE SPRÓBOWAĆ?